

NIEMIECKA ENERGIEWENDE - DROGA DLA POLSKI, CZY ŚLEPA ULICZKA? [KOMENTARZ]

Niemcy z powodzeniem budowały swój wizerunek najbardziej energetycznie „zielonego” kraju UE, który miał wyznaczać standardy - odchodząc najpierw od węgla, a potem od atomu. Jednak, co nie było trudne do przewidzenia, okazuje się, że plan jednoczesnej dekarbonizacji i „deatomizacji” - jakkolwiek pięknie by brzmiał - jest zbyt dużym wyzwaniem dla niemieckiej gospodarki. A dodatkowo spada liczba nowotworzonych źródeł energii odnawialnej. Czy więc jest to uniwersalna droga, którą powinniśmy iść jak najszybciej nie patrząc na koszty, odchodząc od węgla i rezygnując z atomu?

Trzeba zacząć od tego, iż „zielone Niemcy” były w dużej mierze majstersztykiem PR. Wynikało to z trzech aspektów - z jednej strony za czasów władzy Gerharda Schroedera Zieloni byli członkiem koalicji i siłą rzeczy przepychali swoje postulaty związane głównie z ekologią. Potem zaś Angela Merkel rządziła metodą spełniania postulatów swoich politycznych rywali, zanim oni zdążyli zrobić z nich wyborczy i polityczny oręż. Po drugie - ekologia i ochrona klimatu były bardzo istotną częścią budowania niemieckiej soft power i statusu „moralnego mocarstwa”. Po trzecie wreszcie - w ten sposób Niemcy dysponujące co prawda energochłonną, ale za to nastawioną na wysokomarżowy eksport gospodarką budowały swoją przewagę konkurencyjną (zwłaszcza wobec krajów Europy Środkowej), traktując obciążanie finansowe tradycyjnej energii, jako swego rodzaju „podatek ekologiczny”, obniżający konkurencyjność tamtych gospodarek.

W efekcie europejscy i polscy orędownicy czystego powietrza oraz ochrony klimatu stawiali za wzór PR-owskie eventy typu zamknięcie ostatniej kopalni węgla kamiennego, czy zapowiedzi Komitetu ds. dekarbonizacji o odejściu od węgla do 2035 roku. Nie wniano w realizacyjne szczegóły - takie jak fakt, iż kopalnię owszem zamknięto, ale Niemcy są i tak potężnym importerem tego surowca, zaś ich głównym źródłem energii konwencjonalnej jest węgiel brunatny, a co do odchodzenia od tego paliwa oficjalne dokumenty rządowe były znacznie bardziej powściągliwe od materiałów eksperckich - tyle że niewiążących.

Dodatkowo - Niemcy dysponowali kolejnymi dwoma atutami, które były ich „sprzymierzeńcami” w deklarowanej zielonej rewolucji - zdyscyplinowanym, bogatym społeczeństwem, które stać było - ekonomicznie i mentalnie na priorytetyzowanie wartości pozamaterialnych (środowisko i klimat!), jak też siłą ekonomiczną i polityczną pozwalającą na zbudowanie sobie specjalnych energetycznych relacji z Rosją - poprzez kolejne nitki North Streamu - bez ryzyka zostania przez ten kraj ekonomicznie czy politycznie uzależnionym.

Fakty i cyfry mocno od tego zielonego PR odbiegają. Przede wszystkim, jeśli spojrzymy na procent energii pozyskiwanej z węgla w Niemczech jest to prawie 60% podczas gdy w przedstawianej, jako niemal „truciciel Europy” Polsce - 80%. Jeśli weźmiemy pod uwagę różnicę w sile gospodarki obu krajów, jest to proporcja mniej więcej jej odpowiadająca. Jak podkreśla Jakub Wiech, Niemcy wytwarzają z węgla brunatnego praktycznie tyle samo energii, ile wytwarzali w 1992 roku. Przez

prawie 30 lat Berlin nie zrobił nic, by ograniczyć podaż energii z tego wysoce emisyjnego surowca, którego RFN jest największym światowym konsumentem. Nad Łabą spala się ok. trzy razy więcej tego paliwa niż w Polsce. Ponadto, RFN zamierza spalać węgiel jeszcze co najmniej do 2050 roku. Z tego samego dokumentu wynika, że w Niemczech w roku 2040, a więc dwa lata po teoretycznej dekarbonizacji, z węgla będzie się generować więcej energii elektrycznej niż obecnie w Polsce. Oczywiście Niemcy hucznie obchodzili 1 maja br., kiedy łączna produkcja OZE przez chwile zapewniała więcej energii, niż kraj potrzebował, ale po pierwsze - był to dzień wolny od pracy, po drugie - istotny jest tu zwrot - przez chwilę! Za to - jak donosi Handelsblatt - w czerwcu Niemcy trzykrotnie stawały przed groźbą wielkoskalowych przerw w dostawach prądu. Miało to miejsce 6, 12 i 25 czerwca. Sytuacja była poważna - w systemie pojawił się niedobór mocy, częstotliwość europejskiej sieci spadła, RFN musiała zaimportować moc z zagranicy a system znalazł się w stanie krytycznym i otarł się o blackout. Niemieccy operatorzy systemów przesyłowych wydali wspólne oświadczenie, iż „W szczycie zapotrzebowania zabrakło nam 6 GW mocy, to odpowiada ok. sześciu dużym elektrowniom jądrowym. Bufor tzw. energii kontrolnej, którym dysponowali operatorzy sieci, a który został udostępniony wcześniej do krótkotrwałej interwencji, wynosił zaledwie 3 GW”. „Trudno jest przewidzieć dostawy energii z wiatru i słońca” - zaznacza Handelsblatt.

Dodatkowo - poziom inwestycji w czystą energię spadł w 2018 roku aż o 31 proc. do 10,6 mld dol. w porównaniu do poprzedniego roku. Można tu wskazać dwie przyczyny - po pierwsze, kończą się obszary, gdzie istnieją możliwości budowy takich obiektów, po drugie - coraz częściej społeczności lokalne oprotestowują tego typu inwestycje, często na drodze sądowej - i wygrywają! Ma to także związek z faktem, iż energia - pomimo że czystsza - nie staje się dla przeciętnego Niemca tańsza (także przez wliczane w rachunek dotacje do OZE) stąd idealizm ma też swoje granice. Tymczasem rezygnacja z węgla pokrywa się w czasie z likwidacją elektrowni atomowych. Energia pozyskiwana z węgla i atomu stanowi większość miks energetyczny Niemiec. Oba procesy spowodują, że podaż energii na największym w Europie rynku skurczy się w ciągu najbliższych trzech lat o prawie jedną trzecią. Teoretycznie ratunkiem może być gaz, tyle tylko że chętnych do inwestowania w te elektrownie nie ma zbyt wielu - marże są bowiem minimalne, albo w ogóle tego typu projekty przynoszą straty.

Wyjście z tej sytuacji widać jedno - Niemcy po raz kolejny - przy szumnych zapowiedziach likwidacji energetyki konwencjonalnej przedłużą żywotność swoich zakładów atomowych i węglowych. W przeciwnym razie pozostaje import energii - albo z francuskiego atomu, albo z polskiego węgla.

Konkluzja z tego płynie zasadnicza - generalnie jeśli chcemy naśladować czyjś sukces, to trzeba robić to, co on rzeczywiście robi, a nie to co jedynie deklaruje. Jest oczywiste, że nie unikniemy i naszej transformacji energetycznej, niemniej u jej podstaw musi leżeć zdrowy rozsądek i arkusz kalkulacyjny, a nie najlepszy - nawet zielony - PR.

Dawid Piekarczyk - wiceprezes Instytutu Staszica